Świat
Szkolny



146

Wieczór dyskusyjny p. t. „Czy wśród młodzieży gimnazjalnej istnieją różnice ideowe?' został w ostatniej chwili odwołany z przyczyn od nas niezależnych — za co wszystkich kolegów i koleżanki przepraszamy.

REDAKCJA
ŚWIATA SZKOLNEGO



Zebranie delegatów „Świata Szkolnego" odbędzie się dn. 20 I. 1938 r. o g 5 p. p. w gimn. R. Traugutta. Prace do następnego numeru należy nadsyłać do dnia 15. I. 1938 roku.



Z okazji nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia serdecze życzenia wszystkim swym Czytelnikom składa

REDAKCJA.

ŚWIAT SZKOLNY

Miesięcznik Młodzieży Szkół Srednich Częstochowy

Rok XII Grudzień 1937 Nr. 1 (66)

Koleżanki! Koledzy!

Wydając nowy numer „Świata Szkolnego“ wierzymy głęboko, że spotka się nie tylko z przychylnym przyjęciem, ale, że każda uczennica, czy uczeń będzie czuł się w obowiązku popierania zamierzeń redakcji. „Świat Szkolny“, jako organ młodzieży, nie tylko powinien być pismem wszystkich kolegów i koleżanek, ale także musi być organizacją międzyszkolną, skupiającą wszystkie prace ogólno-gimnazjalne na terenie Częstochowy. Takie rozszerzenie zadań pracy „Świata Szkolnego“ *wzmocniłoby powagę pisma i zwiększyło jego poczytność, a równocześnie ożywiło senną atmosferę współpracy międzyszkolnej.*

Samo pismo, jako organ młodzieży, nie może wisieć w próżni ideowej bezmyślnych literackich wyczynów, gdyż sztuka dla sztuki jest nonsensem, ale *musi mieć pewien pion ideowy; musi być prawdziwym odbiciem wielkich ideałów, nurtujących wśród młodego pokolenia.*

Z drugiej zaś strony „Świat Szkolny“ nie może zajmować się partyjną polityką i być rzecznikiem tej lub tamtej strony.

Geopolityczne położenie Polski pomiędzy imperialistyczną Rosją Sowiecką a imperialistycznymi Niemcami hitlerowskimi wymaga szczególnej zwartości narodu, prężności wewnętrznej i zdobywczej ekspansji takiej idei, która równocześnie mogłaby być skierowana przeciwko tym dwum wrogom. *A więc konieczność konsolidacji w jednej idei nie wynika z rozgrywek partyjnych, ale z naszego geopolitycznego położenia i z żywotnych interesów Polski.* Hasło zjednoczenia narodowego, rzucone przez Naczelnego Wodza, nie znalazło podatnego gruntu wśród starszego społeczeństwa. Zamiast jednej wielkiej konsolidacji, potworzyło się szereg małych „konsolidacyjek“, zamiast jednej wielkiej idei, mamy mnóstwo ambicyj i ambicyjek poszczególnych leaderów partyjnych. I zamiast zjednoczenia, rozkopano jeszcze bardziej życie polityczne Polski.

Konsolidacja w starszym pokoleniu jest niemożliwa, gdyż za wiele jeszcze spraw przeszłych a bolących dzieli naród. Za dużo wchodzi w grę zadraśniętych ambicyj różnych macherów politycznych. Za dużo się robi zjednoczenia, a nie jednoczy.

Koleżanki! — Koledzy! — Nas nie różnią żadne przegrane ni wygrane polityczne rozgrywki i walki. *My młode pokolenie Odrodzonej Polski, nie przeorane rowami nienawiści partyjnej, możemy i musimy stworzyć atmosferę prawdziwego zjednoczenia narodu.*

A zjednoczenie to, aby było trwałe i rzeczywiste, musi wynikać ze wspólnoty ideałów, zamierzeń i zainteresowań.

„Świat Szkolny“ będzie terenem porozumienia, terenem, na którym nasze ideały i poglądy mogłyby się spotkać, zetrzeć, obłuskać z wszelkiej bigoterii politycznej, egotyzmów i dać w wyniku ziarno wspólnej idei.

Nie można spraw istotnych ignorować, nie można, by ropiące rany zawijano w brudne szmaty i ukrywano je przed oczyma świata. — Wszystko, co się rodzi w skrytości, w atmosferze strachu i niepokoju, musi mieć piętno ciemnicy na czole.

Dlatego będziemy się zajmować poważnie i rzeczowo wszystkimi zagadnieniami, którymi interesują się szerokie rzesze młodzieży.

Z drugiej zaś strony „Świat Szkolny“ powinien być pełen młodzieńczej werwy, humoru i życia. *Dosyć mamy chorobliwych pesymizmów, dzikich wybryków „rozczochranej“ fantazji i ciągłej omdlałości w sentymentalnym poszukiwaniu celu życia.* Zdrowy, prosty, uczniowski humor, entuzjazm czynu i radość życia — oto cechy, które powinny znamionować każde uczniowskie pismo. Redakcja dołoży wszelkich starań, by wysunięte postulaty w całości wykonać. Jednakże będzie to praca Syzyfa, jeżeli ogół kolegów i koleżanek nas nie poprze i czynnie nie zainteresuje się naszymi wysiłkami.

Redaktor.

SZTUKA A CZŁOWIEK.

Na wstępie zaznaczam, iż pod mianem sztuka, używanym w niniejszym artykule, należy rozumieć: muzykę, poezję, malarstwo, rzeźbę.

Czyniąc przegląd ogromu prac, jakie ludzkość poświęciła sztuce, spotykamy coraz to wymowniejsze świadectwo zdolności człowieka do doskonalenia się.

Idą wieki za wiekami i człowiek uczy się myśl swoją natchnioną wcielać w kamień, barwę, dźwięk, w słowo. Powstaje sztuka.

„Źródłem jej potęgi były i są skarby miłości“ — mówi Petrażycka. Ponieważ miłość jest uczuciem, można powiedzieć, że sztuka z niego powstaje, a przez to zawiera w sobie dużą dozę uczuciowości, udzielającej się temu, który podziwia sztukę.

Grecy, głębocy znawcy sztuki, pojęli i ocenili w całej pełni doniosły, umoralniający jej wpływ na człowieka.

Arystoteles przyznał sztuce potęgę oczyszczania namiętności i uświęcania natury ludzkiej.

Platon wykazał, że ona posiada ogromny wpływ na rozwój pojęć etycznych człowieka. Pragnął on, by młodzi Grecy byli od dzieciństwa przygotowani do odczuwania, pojmowania piękna. Wierzył, że, gdy patrzy się na piękno, pięknieje się wewnętrznie. To też radzi wychowywać młodzież w otoczeniu wspaniałych rzeźb, malowideł, cudnych tonów muzyki i utworów poetyckich, które ugruntują w jej duszy zamiłowanie ładu harmonii.

Pod tym wpływem bezwiednie młodzieniec nauczy się cenić to, co piękne i harmonijne, a usuwać się będzie od wszystkiego, co chaotyczne, wstrętne i złe.

Takie wychowanie, uważał Platon, zapewni młodzieży kulturę wewnętrzną, która lepiej i pewniej kierować będzie jej postępkami, aniżeli najdokładniejsze przepisy i zakazy!

„Sztuka oderwana od życia nie istnieje“.

Sztuka — to człowiek. Ściślej — to cząstka człowieka, w której rodzą się jego wrażenia i wzruszenia, — a więc — zmysły i ośrodki uczuciowe.

Im dalej sztuka znajdzie się od zmysłów i rąk ludzkich bezpośrednio — tym mniej jest sztuką. Dlatego to maszyna współczesna — owoc rachunku, — intelektu czystego, oderwanych procesów myślowych — jest mało minimalnie dziełem sztuki. Jest dziełem matematyki i techniki“. (E. Niewiadomski.)

Dziś w wieku wielkiej cywilizacji ludzie ogólnie mało interesują się sztuką. Dzieje się to dlatego, iż umysły wszystkich skierowane są w stronę walki o byt, która obecnie pochłania lwią część władz ducha i uczuć ludzkości. Ona wysunęła na czoło zagadnienia polityczne i gospodarcze tak palące, że przykuły do siebie umysł człowieka.

CZOŁEM „SZURANI“!

„Szuranym“ I drużyny poświęcam.

MIGAWKI OBOZOWE DLA WTAJEMNICZONYCH.

Obozy! Przymykam oczy, cofam się myślą do tych dni słonecznych, pełnych gwaru młodych głosów, szczęku broni i krzyku szefa: „Baczność! Równaj w prawo! Ja się wam tam poruszam! Baczność jest!“ Wyprężone piersi, dziarskie miny i roześmiane, znajome twarze. Przechodzę w myśli przed frontem! Oto „Słoń Boży“, dobry żołnierz a marny „zgrywus“ za nim stoi „Szurany“, obrośnięty, jak goryl, zawsze mruczący coś pod nosem, dalej „Mańkut“, „Rudy suseł“, nadęty Rysio, „Hanka“ z nosem świecącym. Prokurator (to ja) z łopatką i manierką, wiecznie brzęczącą, Edek z miłosnych kawałów. Wacek „kobiecy kompan“, Gacek kłapouchy, Skóra i Kolanko, drużynowy I drużyny, „Czołem „Szurani“! „Czołem“! I znika obraz z ostatnim „Czołem“ echa odpowiedzią skierniewickich lasów.

Znów nowy. Obozy migają jeden po drugim, coraz prędzej. Taśma wspomnień obozowych przewija się w szalonym tempie. Pisać nie sposób. Za dużo znajomych twarzy, za dużo materiału, kawałów i zgryw. Zwalniam tempo! Powoli. Przecież trzeba wyjaśnić tym wszystkim niewtajemniczonym, co znaczy słowo „Szurany“.

Próżno ktoś doszukiwał by się etymologii od wszystkich języków świata. „Szurany“, „szurać“ są to słowa — wytrychy, słowa uniwersalne, a wywodzą się od jednego „zgrywusa“ o bezczelnym obliczu, który wszystkich „szurał“. I tak na obozach mówiło się: szuraj z łóżka, szurnąłem go w zęby, szuraj papierosa — co oznaczało „sztachaj się machurą“, albo szurany chłop — morowy, z kościami; czasami, ktoś przychodził i mówił „Alem szurnął starszego hamulcowego“ — co oznaczało „alem kiwnął na maniane pana plutonowego“. A już najczęściej było używane przy obiedzie. Wtedy to pierwsza drużyna (każdy metr 80 cm., a

W przedmowie do książki p .t. „Wiedza o sztuce" wspomina autor o tym, że na sto wykształconych osób może jedna jako — tako zdaje sobie sprawę z zakresu sztuki, jej zadań, funkcji społecznej, roli gospodarczej i wychowawczej z jej wpływów moralnych i t. p.

„Światło, jasne barwy, blask słońca i jasna pogoda ożywiają nas i nastrajają wesoło. Ciem ność, zachmurzone niebo budzą w nas strunę melancholii i smutku" — pisze Raaf w „Psychologii elementarnej".

Podobne twierdzenie można zastosować także do sztuki, która, zależnie od tego, jakim pierwiastkiem jest przepojona, nastraja odpowiednio człowieka.

Wincente Blasco Ibanez, literat hiszpański, odbywając w 1859 r. podróż po Italii, zawitał do Medjolanu, gdzie między innymi zabytkami kultury zwiedzał również katedrę, będącą prawdziwym sanktuarium sztuki. Wrażenie, jakie wywarł na nim ten przybytek pięknych rzeźb, malowideł i mozajek, określił Blasco tymi słowami: „Należy posiadać odwagę i twardą szczerość szlachetnych serc, aby przyznać się bez cienia wtydu do tego, iż nie odwiedzając świątyni katolickiej w przeciągu dwunastu lub czternastu lat, przekroczywszy próg takiego kościoła, jakim jest katedra medjolańska, odczuwamy głębokie wzruszenie, budzące w nas wszystkich wspomnienia dzieciństwa.

Subtelna poezja najlepszych stuleci chrześcijaństwa wyszła mi na spotkanie i objęła mnię, osnuwając wschodnią pieszczotą kadzidlanych dymów. Na każdym kroku wyłaniają się dalekie kolumny, posadzka rozciąga się przed nami, powstają w głębi mroku coraz to inne słupy i coraz to większe rzeźby. Ciało zdaje się maleć, a duch, wyzwalając się z ziemskiej powłoki, wiruje ku koronkowym sklepieniom. Chór głosów dziecięcych wibruje w przestrzeni, daleki, przytłumiony, niewyraźny i wyłania się z płyt jak cichy lament niewinnych istot, wygnanych w otchłań. Nieskończony i zawiły sznur cherubinów zda się spływać z jaśniejącego u szczytu otworu, muskając skrzydłami witraże ostrołukowych okien".

Oskar Wilde w książce p. t. „Sztuka i życie" mówi, że życie przyjmuje od sztuki wyraz uduchowienia, głębię myśli i uczucia, męczarnie i spokój duchowy.

Sztuka potęguje naszą miłość do natury, odsłania nam jej tajniki, przyczynia się w dużej mierze do wprowadzenia zgody na miejsce chaosu, panującego wśród ludzi, wskazuje człowiekowi to, co piękne!

Hieromin Ciurzyński (G. T. S. S.)

Składajmy swe oszczędności w K. K. O.

głodny jak lew) robiła zamieszanie, a jeden „szurał" menażką fusiatą kawę, lub gęstą lawinę, zwaną zupą.

Majsterkiem w tej robocie był „Szmaja" — szurał obydwoma rękoma. Na jedzenie narzekać nie można było. Każdy jadł za dwóch, czasami tylko kotlet był przytwardy, zupa przygęsta. Jednego dnia zapytałem p. szefa naiwnie: „Panie szefie, czy te kotlety robi się z podeszfy, czy też podeszfę z tych kotletów?". — Srodze oburzył się kochany szefunio i o mały kotlet myłbym kotły, co było karą srogą. Ale szurnąłem wczas. No! nasz popularny słownik obozowy był o wiele obfitszy, niż menu obiadowe (fasola, groch, kapusta). Co tu dużo gadać! Każdy klął, jak na dobrego żołnierza przystało. Jeden mój „kumpel" szurany potrafił kląć przez pół godziny, nie powtórzywszy ani jednego wyrazu. Ho! ho! dzielny to był wojak — dzielny! Raz wysłany na patrol, tak dokładnie badał teren, iż przyszedł dopiero w 3 godziny po ćwiczeniach.

— — — — — — — — — — — — — — — —

U nas w namiocie było moc rekordzistów. Jeden, zwany popularnie Rysio Purchawka, był takim zapalonym sportowcem, (a interesował się lotnictwem i baloniarstwem), że wszędzie trenował. Mój Boże, gdzie on nie trenował. Nawet w namiocie.

A ja wtedy spałem między Pierwotniakiem, drabem 2-metrowym, o byczych muskułach, ale spokojnym usposobieniu (raz się zdenerwował, gdy masło w sposób wandalistyczny zakopano do ziemi na znak protestu. Wtedy widziałem ośle błyski w jego oczach i srodze ruszał barami).

Z drugiej zaś strony było łoże tego zapalonego sportowca. Dalej wylegiwał się „Słoń Boży", „kumpel" „szurany", ale spokojny. Rysio Purchawka, jak już pisałem, trenował wszędzie. Rzucał się po nocach; awanturował i machał długimi łapskami. Aż wreszcie jednej nocy zniecierpliwiony, mając poparcie „kumpli" z namiotu, którzy mruczeniem, albo wprost wściekłym krzykiem „szurnij w gębę tego osła" wyrażali swoje oburzenie, zwołałem sąd i wygłosiłem pamiętną mowę prokuratorską.

Cicero, Bosscut — to wszystko nic w porównaniu z moim przemówieniem. To była wspaniała perełka historiozofii od Adama i Ewy zacząwszy, na Rysiu Purchawce skończywszy. Doprawdy, bardzo żałuję, że nie mogę przyto-

Czy wszyscy się zgadzamy?

Demokracja czy totalizm.

Demokracja choruje w całym świecie. — Przeżywa swój kryzys ideologiczny i stoi na rozstajnych drogach dalszego rozwoju. Wszystkie prawie państwa demokratyczne stanęły w swoim rozwoju i wyraźnie zaczynają się cofać wobec życia. Partyjnictwo, przekupstwo, frymarczenie dobrem narodu, słabość rządu, a przede wszystkim brak jednej wielkiej idei, oto szereg chorób, które trawią państwa o ustroju demokratycznym. Czy demokracja jest zwalona chorobą śmiertelną, czy też zastrzyk totalizmu uzdrowi ją, jak niegdyś dopomogła Reformacja do odrodzenia Katolicyzmu? Na to pytanie odpowie historia. Lecz dzisiaj możemy postawić diagnozę, możemy pokazać przyczyny upadku demokracji.

Przede wszystkim doktryna demokratyczna, wypływająca z Rewolucji Francuskiej, a ściślej mówiąc z „Deklaracji praw człowieka“ przydusiła prawdziwe ideje demokratycznego współdziałania rządu ze społeczeństwem i wysunęła na pierwszy plan obronę obywatela przeciwko Państwu. O ile konieczne to było przed wojną w państwach absolutycznych, o tyle dzisiaj we własnym państwie demokratycznym ten negatywny stosunek do rządu, obronny, mści się i prowadzi do przerostu parlamentaryzmu, głównej choroby demokracji. „Nadmiar parlamentaryzmu, to klątwa nowoczesnej demokracji“ — mówi Mussolini w jednej ze swych mów, a jako cel rewolucji faszystowskiej postawił sobie zwalczenie „szkodliwego obyczaju polityczno-parlamentarnego“, „zwyrodnienia demokracji“. A Marszałek Piłsudski przed zamachem majowym w wywiadzie prasowym oświadczył:

„Staję do walki z głównym złem Państwa, z panowaniem rozwydrzonych partyj i stronnictw nad Polską, zapomnieniem o imponderabiliach, a pamiętaniem tylko o groszu i korzyści“.

Po zamachu majowym 31-go maja mówi: „Swobody demokratyczne zostały nadużyte tak, że można było znienawidzieć demokrację“ — a dalej — „Sejm i Senat mają nadmiar przywilejów i trzeba, aby ci, którzy powołani są do rządów, mieli więcej praw. Parlament winien odpocząć“.

Mussolini twierdzi, że parlament jest chory, gdyż:

1 prasa codzienna i fachowa lepiej załatwia sprawy parlamentarne,

2) syndykalizm łączy naród z rządem,

3) brak odpowiedzialności sejmu, wypływających z niefachowości posłów.

A pretensje parlamentu do rządzenia nie

---

czyć oryginału (cenzura), gdyż mam pewność, że otwartoby dla mnie nowy fotel w P. A. L.-u. Co tu dużo gadać. Wrażenie było piorunujące. Namiot falował ze wzruszenia, a sędziowie przysięgli płakali i tarzali się po łóżkach, rycząc, jak bawoły z oburzenia. „Słoń Boży“ kwilił z kąta, a Pierwotniak, ten nieczuły, jak głaz, Pierwotniak, szlochał, jak dziecko. Obrona reprezentowana przez Gacka i Skórę, siorbając nosami, słabo broniła delikwenta: że to niby sportowiec, że to będzie reprezentował namiot, że musi trenować etc. Sędziowie wśród ogólnego entuzjazmu skazali oskarżonego na „koca“ i 50 pasów. Lecz tu powstała pierwsza rozbieżność. Wszyscy chcieli wykonać wyrok. Nawet Pierwotniak, ten jak baran spokojny Pierwotniak sięgał po pas i mruczał: „Pozwólcie tylko raz, chociaż raz“. Wśród tego zamieszania wpadł podoficer służbowy i w sposób brutalny zaprowadził porządek.

— — — — — — — — — — — — — — —

Największą plagą życia obozowego, oprócz mycia kotłów, były zbiórki. 20 zbiórek dziennie, 20 razy równać, kryć, odliczać, 20 rozejść się i znów zbiórka, to... to sto razy wolelibyśmy ćwiczenia.

Tymbardziej, że pierwsza drużyna miała ćwiczenia w polu z panem porucznikiem, chłopem „morowym“, „szuranym“ pod każdym względem. Nie krzyczał, nie darł się, a wszystko szło składnie i ochotnie. Najwięksi opylacze, zgrywusi, nygusi, powsinogi, wagabundy, starali się, by pan porucznik krzyczeć nie potrzebował. Gdy ktoś inny powiedział „Kto mi pójdzie na ochotnika do tego krzaczka?“ (20 kroków), to nikt się nie ruszył. A gdy to powiedział pan porucznik, chociaż czasami było nawet 2 kilometry, w samo południe, to cała drużyna zgłaszała się na ochotnika, jak na komendę. I wtedy porucznik uśmiechał się, dziękował i wyznaczał dwóch.

— — — — — — — — — — — — — — —

Prawdziwą zmorą, duszącą śpiących junaków był „Alarm!“ Już tydzień przed tym drużynowi niby w tajemnicy szeptali „będzie alarm“. Nawet sam kapitan z marsową miną rzekł: „W tych dniach będzie alarm, niech mi się kto spóźni... to ja mu dam... kotły do końca obozów będzie mył“. Po tej groźbie część spała na pół ubrana, a najlękliwsi w butach z bronią pod pachą, z plecakami i menażką pod głową, a łopatką z boku. Co wieczór których z „szura-

tylko nie wytrzymały próby życia, ale także nie są oparte na nowoczesnej nauce i doktrynie państwowej, *gdyż zbiorowość nie może być osobowością i mieć wolę, dlatego też nie może rządzić.* „Dogmat o suwerenności narodu (ludności) jest tanią hipotezą, a poza tym postulatem zbytecznym" — pisze znany uczony francuski Leon Duguite w „Traité du droit constitutionnele".

„System oparty na wyborach i na liczbie prowadzi do zniwelowania osobowości ludzkiej przez masę, mniejszość przez większość. Liczba nie ma mózgu. I dlatego, gdy ona tworzy prawo, następuje osłabienie myśli w społeczeństwie" — pisze prof. Gonrogi de Reynold w „Demokracja i Szwajcaria".

Jak z tego widzimy, tak życie, jak i nauka potępiły przerost parlamentaryzmu. A jednak wiele państw, a wśród nich nasza sojuszniczka Francja jest trawionych przez chorobę XIX wieku. Słabnie i niszczeje bogata Francja, targana demagogią partyjną, podsycaną przez wrogie państwa. A jak tragicznym tego przykładem jest Hiszpania. Zapewne, są także demokracje kwitnące, jak Anglia, Dania, Szwecja, lecz tu wszędzie autorytet króla łagodzi walkę partii, samolubstwo leaderów partyjnych, demagogię klas.

Mówi się, że demokracja daje wolność. — Lecz jakżeż ta wolność wygląda w rzeczywistości. Czyż nie wiemy, jaki wpływ wywierały i wywierają tajne związki masonerii we Francji, w Hiszpanii. Czyż właśnie taka demokracja spaczona nie staje się polem działania dla różnych giełdziarzy, spekulantów politycznych, a przede wszystkim dobrze zorganizowanych, tajnych związków? Lub w Ameryce, czyż nie trzęsą rządami właściciele wielkich trustów przemysłowych, przekupując całe rzesze wyborców i urzędników? To nie jest prawdziwa wolność, to „profanacja świętego imienia wolności" (Mussolini). Dzisiejsza demokracja stała się rządem nie ludu, lecz monopartii i pieniądza. I wolność tam istniejąca jest tylko wolnością ludzi bogatych i silnych, gdy słaby, nie broniony przez państwo, jest tyranizowany przez pieniądz i przemoc. Więc twierdzenie, jakoby prawdziwą wolność dawała tylko demokracja, jest ułudą.

Reakcją przeciwko spaczonej demokracji w imię dobra narodu był marsz czarnych koszul na Rzym, zamach majowy Marszałka i rewolucja hitlerowska w Niemczech. Jednakże o ile u nas sprawę załatwiono umiarkowanie, lecząc niektóre wady demokracji nową konstytucją, to we Włoszech, w Niemczech, a dalej w Sowietach rozpędzony rydwan przeciwstawień zatrzymał się na krańcach totalizmu.

Totalizm stał się bogiem nowej epoki, młody, buńczuczny, agresywny, pociąga swoim rozmachem, aktywnością i potęgą pracy. Bicie bębnów, ciągłe defilady, mowy, uroczystości i krzyki rozentuzjazmowanego tłumu i wspaniałe, efektowne wyniki, oto co działa na zmysły ludzi, a przede wszystkim młodzieży. Jednakże totalizm, który zrealizował postulat silnej

---

nych" szeptał z tajemniczą miną: „Wiecie co? szefunio mówił, że będzie dzisiaj alarm" i przeważnie kładł się spać, zasypiając w kilka minut. A strachliwsze bractwo klęło na czym świat stoi, przecierało oczy, aż wreszcie zasypiało na łopatce w ciągłym strachu i gotowości. Jednej nocy, gdy napięcie alarmowe doszło do szczytu ,wyskoczyliśmy z Gackiem .i biegnąc od namiotu do namiotu z ogromnym wrzaskiem „Alarm"! „Alarm"! „Wstawać"! Obóz, dotychczas uśpiony, zaszumiał, jak w ulu. Alarm! Alarm! „Gdzie mój karabin? Oddaj plecak! Do diabła, butów nie mogę ubrać! „Szuraj, ośle!" Nie bierz mojej łopatki!" Głosy dochodziły coraz wścieklejsze i więcej zmieszane. Po kilku minutach drużyny stały w szeregu. Obudziły się władze i zaspionymi oczyma ujrzały junaków w pogotowiu. „Czemu nie śpicie rekruckie safanduły?!" — ryknął wściekle szef. „A bo przecież alarm!" — Oj, dali nam za ten alarm. Proszę siadać. Ja to jeszcze „szurnąłem" wszystkich, ale Gacek, że to takie wielkie uszy, to nawet po nocy poznasz, zwijał się, jak wąż pod oskarżeniem zbrodni zakłócenia spoczynku.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Ale wszystko jednak morowo było na obozach. Goniło się z karabinem, nieodstępnym towarzyszem, po dziurach i górach, lasach i błotach, a już najciekawsze były ćwiczenia nocne. Podczas jednych ćwiczeń, gdy trzeba było podejść nieprzyjaciela, pozdejmowaliśmy buty i w skarpetkach, kłując nogi, klnąc na łopatkę i ciągle chrzęszczący karabin, skradaliśmy się w gęstym lesie. Idziemy godzinę nieprzyjaciela nie ma, druga, a jego jeszcze nie ma. Wreszcie Hanka, dowódca patrolu, orzekł mądrze, że trzeba pójść na lewo. Po półgodzinnym marszu wyszliśmy na rozstajne drogi, oglądamy się, co u diabła — przecież stąd wyszliśmy. Ho, głupią minę miał nasz dowódca, a nos mu świecił się, jak latarnia na Helu.

— — — — — — — — — — — — — — — —

A potem odjazd. Baczność! Równaj w prawo! Czwórki w prawo front! Migawki. Obrazy. Strzępy słów, do lamusa wspomnień — marsz! Kompania śpiewa pieśń radosnych, wspólnych przyjacielskich dni, pieśń w takt równego bicia serc, złączonych przyjacielskim splotem rąk i wspólnego obozowego przeżycia. Baczność! — Rączki do pasa. Kompania... stój! Prezentuj broń! Na prawo patrz! Czołem „Szurani"!

Prokurator, GPRT.

władzy, posunął się w ubóstwianiu państwa za daleko. Państwo stało się absolutem. Absolutem nie tylko przed swoim ja, rodziną, uczuciem, ale także przed Bogiem i religią, przed najistotniejszą treścią duszy. Państwo zamiast rozwijać pod każdym względem człowieka, jego dążność do wielkości i szczerości, krępuje pewien potrzebny indywidualizm ramami czasami ciasnego programu. Człowiek w państwie totalistycznym albo przestaje myśleć o sprawach ogólno-państwowych zostawiając to swemu wodzowi, albo buntuje się wewnętrznie i z obawy represji zabija krytycyzm nikczemniejąc, albo w ostateczności zbuntowany, staje się męczennikiem bez idei.

Tu leży źródło upadku w państwach totalistycznych literatury, historiozofii, socjologii, a równocześnie źródło wspaniałego rozwoju przy poparciu państwa nauk ścisłych, architektury i sportu. Największą piętą Achillesa ustroju totalnego jest oparcie całej struktury państwowej na osobie wodza. „Partie służą, aby wola Il duce była wolą narodu" — pisze Giovanni Gentele w „źródłach i daktrynie faszyzmu".

Co się stanie w razie śmierci wodza? Czyż znajdzie się drugi człowiek równie genialny, potrafiący wzbudzić entuzjazm tłumu? Na te pytania odpowie historia. Lecz system, oparty wyłącznie na geniuszu wodza, musi w miarę czasu zawieść.

Tak demokracja, jak i totalizm jako systemy polityczne mają wiele podstawowych wad. Więc w takim razie jaka forma rządu najlepiej odpowiada duchowi polskiemu? Próbujmy w dyskusji na łamach „Świata" szukać odpowiedzi.

Z. Zajdler, GPRT.

NA POSTERUNKU.

NOWELA.

Na środku hali rozciągnęły swe potężne cielska dwa stalowe cylindry. Na wysokich podwyższeniach, trzymane w łożach mocą grubych jak przeguby śrub, przeglądały się w wypolerowanej posadzce.

Lśniące od oliwy korbowody leniwymi ruchami wyślizgiwały się z wypolerowanych cylindrów.

Inżynier Boremski wstał od swego stolika, zbliżył się wolno ku pierwszej z brzegu maszynie.

Z lubością przypatrywał się gigantycznej pracy swych wieloletnich towarzyszy. Z namaszczeniem złożył prawą rękę na ciepłym łonie cylindra, wczuwał się w rytmiczne tętno tłoków, chwytał uchem najcichszy szmer, wkradający się w cichą pracę, czuł każde najmniejsze drgnienie.

Spokojnie odjął rękę od ciepłej stali: wszystko było w porządku, więc ruszył dalej. Chłodny powiew odgarnął mu z czoła płowe włosy.

Zbliżał się do koła rozpędowego, do magazynu energii, rozchodzącej się za pośrednictwem szerokich pasów na cały obszar fabryki. Potężne kolisko, umocowane na stalowej osi, niezmordowanie wirowało. W szybkim biegu zaniknął jego pierwotny wygląd, niewidocznymi stały się ciemne szprychy, w powietrzu migała przejrzysta tarcza.

Środek jej przebijała gruba oś, uwięziona w dwóch wysokich panewkach.

Nad powierzchnię podłogi wysuwała się tylko połowa kolosa, druga część kryła się w obszernym otworze.

Wyślizgane pasy wysuwały się w jednym kierunku, tworząc szeroki wachlarz. Były one pośrednikami między halą maszyn a szeregiem wysokich budynków. Gdyby potężna masa koła przestała wirować, zamarłyby maszyny wszystkich hal, przestałyby wirować wysmukłe wrzeciona, spoczęłyby w bezruchu wiecznie skaczące czółenka.

Ale koło, snadź świadome odpowiedzialności, pracowało niezmordowanie, aż osie zachłystywały się oliwą, a rozcinane powietrze śpiewało komarowymi tonami pieśń o wiecznym wysiłku, pieśń o tysiącach przerobionych wagonów bawełny, która, sprasowana w ciężkie bele, wjeżdżała ładownymi wozami do wnętrza, a przeszedłszy setki najwymyślniejszych tortur, opuszczała odrzwia fabryki jako wzorzyste płótno, jako misterna nić, owinięta na drewnianej szpuli, lub jako okrągły sznurek.

Inżynier Boremski przystanął i przypatrywał się śpiewającemu kolosowi, a ilekroć zbliżał się do niego, czuł jakąś niepohamowaną radość i podziw, ale zarazem strach chwytał go za piersi.

Tak i teraz stanął, wlepił oczy w migocącą masę i śledził jej szybkie ruchy, jednak wnet ocknął się, sprawdził pasy, zobaczył, czy w zbiornikach jest oliwa, czy osie nie grzeją się i ruszył ku wyjściu.

Przechodził koło tablicy zegarów, z przyzwyczajenia rzucił okiem na szereg manometrów.

Rany Boskie!

Czarna strzałka od jednego z manometrów przeskoczyła czerwoną linię i nieznacznie wahając się, posuwała się...

Inżynier runął do drzwi, kilkoma skokami przesadził kręte schody i pobiegł do kotłowni.

Stanął w drzwiach.

Wzdłuż hali biegł równy szereg czarnych i świecących się pieców. Przed każdym z nich stał rozebrany do półnaga robotnik z łopatą w ręku; co chwila jeden z nich nachylał się, nabierał na łopatę czarnego miału i rzucał w ziobnący żarem otwór paleniska. Świecące od potu ramiona migały, ciszę przerywał zgrzyt blachy o kamienną posadzkę.

Na uboczu stał sam majster, ubrany w granatową bluzę, obojętnie przypatrywał się pracy.

Boremski stanął w drzwiach i wrzasnął:

Uciekać!

Rozległ się brzęk rzucanych łopat, u wyjścia kłębiła się masa półnagich ciał. Boremski biegł wzdłuż czarnego szeregu kotłów, pilnie obserwując manometry.

Jest!

Przy szóstym z kolei kotle strzałka przebiegła linię.

Boremski stanął, schwycił małą dźwignię od kranu i usiłował podnieść. Dźwignia tkwiła, jak zaklęta. Boremski pochylił ciało naprzód, ugiął kolana i parł ze wszystkich sił. żelazny pręt skoczył w górę. Z rury spod wodowskazu bryznęła z piekielnym świstem biała chmura pary, rzygnęła o beton posadzki i przykryła białym tumanem Boremskiego.

On zachwiał się, pochylił na wznak i upadł w czyjeś ramiona. To majster kotłowni oprzytomniał i skoczył na pomoc. Teraz trzymał Boremskiego w objęciach i wywlókł z zasięgu białego tumanu.

Bezwładna głowa leciała mu przez ręce, nogi wlokły się po posadzce.

Złożył Boremskiego na ziemi, potrząsał za ramię, jak gdyby chciał zbudzić z głębokiego snu.

Panie inżynierze! Panie inżynierze!

Boremski leżał bezwładny, z zamkniętymi oczyma. Po chwili ocknął się, otworzył powieki i spojrzał w głąb sali.

Długi rząd czarnych kotłów błyszczał swymi wytłuszczonymi cielskami i zionął czerwonymi od żaru paszczami.

Inżynier westchnął.

Uratowałem.

Próbował podnieść głowę, jednak skurcz bólu ponownie wykrzywił mu usta.

Wskazał palcem na nogi i wyszeptał:

Pali. Ogień.

Majster w niebieskiej kurtce oglądał się bezradnie. Tymczasem w wejściu ukazały się głowy ludzkie z widocznymi piętnami przerażenia.

Ujrzeli biały tuman pary, wciąż jeszcze z sykiem wydobywający się z kotła. ujrzeli wreszcie leżącego Boremskiego.

Kilku śmielszych wsunęło się do wewnątrz, niezdecydowani stali przy drzwiach. Głos majstra wyrwał ich z niepewności, ruszyli gromadą, stłoczyli się koło leżącego inżyniera, spoglądali w osłupieniu to na trupio bladą twarz, to na modre, parujące spodnie, to na zastawiony już kran, z którego z sykiem wydobywało się pasemko pary.

Na rozkaz majstra schwycili inżyniera na barki.

Przybiegł zadyszany lekarz. Boremskiego złożono w sali opatrunkowej.

* * *

W jasnej sali szpitalnej przy oknie leżał Boremski, głowa spoczywała w bieli poduszki, jasne włosy rozsypały się na wysokim czole. Rękoma poruszał gwałtownie i nerwowo.

Zaczął coś szeptać siwymi ustami.

Obok stojący doktór wraz z jakimś czarno ubranym panem, pochylił głowę, usłyszawszy szept:

„Złóż rękę na jej stalowym sercu! Nie czujesz jej tętna? Nie słyszysz rytmu regularnych uderzeń?

Ona żyje.

Nie wierzysz?

Zbliż do niej ucho, a usłyszysz jej gorący, ale spokojny szept.

Nie słyszysz, jak mówi?“

— Twierdzisz, że panujesz nade mną?

Tak, ty możesz jednym przełożeniem dźwigni sprawić, że me serce bić przestanie. Ale ty jesteś mym niewolnikiem. Bo niech moje stalowe serce bodaj przez miesiąc bić przestanie, cóż będzie z tobą?

Tysiące dzieci zapłacze:

Jeść!

Tysiącom ojców te słowa przeszyją piersi. Tysiące silnych postaci stanie przed żelaznymi bramami twego gmachu i zawoła:

Pracy i chleba!

A tobą wstrząśnie dreszcz przerażenia i strach wypełni twe jestestwo.

Jam jest twój pan.

Ja — maszyna.

Z. R., GPRT.

WSPOMNIENIA.

Matko!

— Od niepamiętnych czasów mego dzieciństwa Ty jedna potrafiłaś leczyć i goić me rany najgłębsze, najdotkliwsze.

Dzięki bezbrzeżnej tkliwości Twego serca i dobroci nieograniczonej, nie znałam istoty, którą poza Tobą mogłabym umiłować. Wiem, że dwoje ludzi może się kochać do zatracenia pamięci, świata poza sobą nie widząc. Żądają jednak od siebie wyrzeczeń i poświęceń zapo-

minając, że wir życia często roztrąca świątynie ideałów.

Tyś taką nie była, — o nie!

Ty nie pragnęłaś ode mnie niczego. Żyłaś moją radością i moimi troskami. Umiałaś nic nie pamiętać i wszystko przebaczać.

Tyle razy słowem lub niebacznym uczynkiem raniłam Twe serce tak boleśnie, a w zamian nie usłyszałam nigdy skargi, ani wyrzutu.

— Wybaczałaś mi wszystko i nie pamiętając doznanej krzywdy mówiłaś do mnie zawsze swym cichym głosem: „Moje najdroższe maleństwo".

Chwile największego bólu przecinałaś pociechą serdecznego słowa lub pieszczotą dłoni matczynej.

— — — — — — — — — — — — — —

Dziś nie ma Cię przy mnie i już nie będzie. Spoglądam w ciemną przestrzeń. Może nadejdziesz?!

— Nie, stamtąd, gdzie Ty jesteś, nie wraca się! —

A mój ból kto zrozumie?

Chodzę smutna i z bezbrzeżnym żalem spoglądam na przedmioty, których Tyś dotykała.

Płaczę, lecz nikt się nie odezwie i nie zapyta: „Czemu"?

Staję, jak dawniej, przy Twoim fotelu i znów czuję na mej głowie ciepło Twych rąk kochanych i słyszę głos Twój niezapomniany.

O Matko! Matko moja ukochana...

H. Gawęcka, „Nazaret".

PRZEGLĄD PRASY.

„MŁODA POLSKA" Nr. Nr. 1, 2, 3.

Trzy numery organu „Związku Młodej Polski" dają nam zarys ideologii związku. Rozmach ideowy, szerokość horyzonty myślowe, zdecydowany stosunek do rzeczywistości cechują każdy artykuł programowy. Podstawowym założeniem, płaszczyzną porozumienia, na której spotkać się mają rozbieżne ideologie młodzieży, jest koncepcja syntezy myśli żołnierskiej i politycznej.

Kompromis ten jednak nie sięga dalej poza punkt wyjścia. W dalszych bowiem założeniach pion ideowy Z. M. P. jest jednolity i konsekwentny. Konflikt myśli żołnierskiej i politycznej, którego ostatnim wyrazem były Legiony i Nar. Demokracja, zostanie przekreślony, zaś dodatnie strony kształtowanych przez te kierunki psychik złożą się na typ „romantyczno-twórczy". Demokracja ideowa ZMP. stwierdza, że „Bezkompromisowy program i wspólny środowiskom legionowo-żełnierskim i młodo- narodowemu typ psychiczny romantyczno-twórczy, typ zdolny do ryzyka osobistego zapewnienia Związkowi Młodej Polski ducha walki oraz pracę i wolę zwycięstwa młodego pokolenia".

„Młoda Polska" rzuca hasło walki o „przełom narodowy" o „głęboką rewolucję psychiczną, która dokona się w umysłach Polaków".

Przełom ten będzie dokonany, gdy „cała energia narodowa, jako suma energii jednostek, zostanie wyzwolona, zjednoczona i użyta do budowy wielkiej i potężnej Polski... gdy zorganizowanym masom wschodu i zachodu przeciwstawimy polską, chrześcijańską, zorganizowaną masę narodu polskiego... gdy zniknie ostatni ośrodek propagandy wrogiej, obcej destrukcyjnej, osłabiającej moralnie i fizycznie naród i państwo, prowadzonej przez zjednoczone siły fołksfrontu".

W stosunku do sposobu rozwiązania szeregu zagadnień społeczno-ustrojowych postawa Z. M. P. jest nawkroś radykalna. Ustrój kapitalistyczny to „kajdany krępujące skutecznie rozwój polskich sił narodowych, uniemożliwiające podniesienie na wyższy poziom narodowo-cywilizacyjny milionowych mas polskich, bez udziału których nigdy nie ucieleśni się wielkość naszej Ojczyzny". Ale także „jesteśmy wrogami komunizmu, wrogami zaciekłymi i bezlitosnymi".

Tym dwóm ustrojom, tak teoretycznie diametralnie różnym, a praktycznie sprowadzającym się do wyzysku pracy ludzkiej, przeciwstawić należy doktrynę społeczną Kościoła katolickiego i w myśl jej „uznajemy własność", ograniczoną dobrem Narodu i używaniem jej zgodnie z dobrem Narodu uwarunkowaną. Uznajemy własność za użytkowanie rzeczy z ramienia narodu", a dalej „walczymy o to, by podział dochodu narodowego najpierw dał chleb każdemu chcącemu pracować Polakowi, a dopiero po tym bogacił jednostki".

Stanowisko w kwestii żydowskiej jest jasne, a sposób jej rozwiązania konsekwentnie przemyślany.

Autor programowego artykułu p. t. „Rozwiązanie kwestii żydowskiej w Polse" wskazuje na to, że Żydzi są „rozsadnikami destrukcyjnych wpływów komuny", a przez „opanowanie życia gospodarczego eksploatują dobra materialne Polski przede wszystkim dla celów narodowych żydowskich a nie polskich", dalej, że oddziaływanie zupełnie odmiennej cywilizacji, obcej i niezrozumiałej kultury żydowskiej wywołuje już przez samo zetknięcie się rozkładający wpływ na duszę polską" oraz „że Żydzi będąc narodem żyjącym w szeregu państw, traktują Polskę jako jeden z czynników ich pozycji w świecie.

Jedyne rozwiązanie kwestii żydowskiej —

to emigracja, obejmująca wszystkich żydów, przy czym „kwestia znalezienia terenów, które zdolne będą pochłonąć masy żydów z Polski, obciąża całkowicie polskie i międzynarodowe organizacje żydowskie“ „równowaga życia gospodarczego Polski wymaga pozostawienia w Jej granicach dóbr materialnych, które użytkują obecnie żydzi“. Postawa ZMP. w kwestii żydowskiej wyraża się w stwierdzeniu, że „wypowiedzenie żydom prawa pobytu w Polsce jest procesem dziejowym, na który nie ma rady, gdyż żywotny interes Narodu Polskiego stanął w konflikcie z interesem narodu żydowskiego“.

Tak w najogólniejszym zarysie przedstawiają się podstawowe założenia ideowe ZMP. Oprócz tego znajdziemy w „Młodej Polsce“ rozważania na temat zdobytej postawy psychicznej Narodu („Naród pod bronią“ nr. 1), rozważania na tematy związane z ustrojem („Cel zasadniczy ustroju“ nr. 1), interesujące ujęcie zagadnienia „nowoczesnej kultury narodowej“ (nr.2), wszechstronne oświetlenie problemu stosunku do wsi (nr. 2), wreszcie bystre obserwacje z życia współczesnego („Fakty i tło“) oraz żywo prowadzony dział polemik prasowych.

Jeśli praca organizacyjna i praca w terminie swoją mocą i konsekwencją równoważy doniosłość nakreślonego programu, to konsolidacja młodego pokolenia wyjdzie ze stanu fikcji i frazeologii, a stanie na twardym gruncie rzeczywistości.

„ORLĘTA“ Nr. Nr. 1, 2, 3, 4.

Miesięcznik poznański dość daleko odbiega od szablonu przeciętnych pism młodzieżowych. Wytyczne ideowe pisma są mocno zarysowane, brak tu charakterystycznej dla tego rodzaju chwiejności poglądów. Niewątpliwie jest to strona dodatnia, tym bardziej, że zagadnienia ujmowane są prosto, szczerze i bezpośrednio. Ale z drugiej strony razi brak dyskusyj, tak naturalnych dla pisma młodzieży. Ten brak wyrównuje w pewnym stopniu swoboda wypowiedzi, której mogłyby pozazdrościć inne pisma. To też oddziaływanie ideowe tego pisma jest szerokie. Rolę „Orląt“ jako „protestu przeciwko marazmowi i zniechęceniu, i iskry, wzniecającej ogień miłości Boga i Ojczyzny“ omawia Nr. 1., jubileuszowy, bo otwierający 10-ty rok pracy pisma. W tym samym numerze znajdujemy omówienie położenia Polaków na Śląsku niemieckim, dalej interesujące odtworzenie życia w Pompei i Herculanum, wreszcie, pozbawione wszelkiej oficjalnej mętności oświetlenie aktualnych zagadnień. Zarówno w tym numerze, jak i w pozostałych, zwraca uwagę poezja, której treść i forma stoją na wysokim poziomie literackim i ideowym. Jasnością ujęcia odznacza się artykuł omawiający wszechstronnie zagadnienie związku literatury z życiem duchowym narodu.

W numerze drugim zwraca uwagę artykuł wstępny, charakteryzujący naszą postawę wobec Niemiec, którą cechować winna nieustępliwość i wola odzyskania utraconych obszarów polskich, dalej artykuły o stosunkach w Małopolsce wsch. i na Kresach, wreszcie rozważania na temat „wychowania antypacyfistycznego.

W numerze trzecim znajdujemy artykuły: „Rola żydów w walkach z Ukraińcami“, „Madagaskar — żydowska ziemia obiecana“ oraz wartościowy reportaż z wystawy paryskiej. — Wyspiańskiemu poświęcony jest artykuł z okazji 30-lecia jego śmierci. Autor artykułu dochodzi do wniosku, że ideologia Wyspiańskiego „jest pokrewna ideologii młodego nacjonalizmu polskiego“.

Numer czwarty otwiera bardzo dobry sonet „Idzie zima“, dalej idą artykuły „Nasz stosunek do armii“, „W rocznicę powstania listopadowego“, nowelka „Oj, te chłopaki“, przegląd aktualności, wreszcie wiadomości z życia Polaków za kordonem niemieckim.

J. S.

Reportaż z Teatru.

Chcąc nawiązać ścisły kontakt między miejskim Teatrem Kameralnym, najpoważniejszą pozycją w kulturalnym życiu Częstochowy, a nami, młodzieżą, mającą przodować pod względem zainteresowań i aspiracyj artystycznych i literackich, udaliśmy się do p. dyr. Brodzikowskiego z prośbą o wywiad dla „Świata“. P. dyr. Brodzikowski udzielił nam wyczerpujących informacyj ,którymi pragniemy podzielić się z naszymi Czytelnikami.

Na pierwsze pytanie, jakie są zamierzenia programowe, p. dyrektor odpowiada:

„— Dyrekcja Teatru napotyka na znaczne trudności przy układaniu repertuaru, dlatego, że zbyt późno decyduje się o sprawach Teatru. Repertuar układa się na wiosnę i na wiosnę kompletuje się zespół artystyczny. Założeniem moim jest dać oddzielny repertuar dla dorosłych, oddzielny dla młodzieży i dzieci. Ciągle bowiem marzymy o dziecięcym teatrze. Dla młodzieży wystawiamy sztuki albo leżące w programie szkolnym, albo dozwolone rozrywkowe, np. „Mąż z grzeczności“.

Specjalnie dla młodzieży była sztuka „Pan Damazy“ Blizińskiego.

Obecnie są grane „Serca za drutem kol-

czastym“ komedia Zalewskiego. Poza tym mamy zamiar grać przed świętami jakąś rozrywkową sztukę, prawdopodobnie będą to „Artyści“, sztuka, grana z wielkim powodzeniem przez Teatr Polski, w której Jaracz odniósł wielki sukces.

Dla dzieci zamierzamy wprowadzić przed świętami teatr kukiełkowy; w nim damy bajki, później jasełka.

Dla młodzieży mamy zamiar wystawić „Grube ryby“ Bałuckiego, potem damy Moliera albo „Chorego z urojenia“ albo „Skąpca“, o ile uda nam się sprowadzić Solskiego.

Oprócz tego nosimy się z zamiarem wystawienia „Głupiego Jakuba“ Rittnera, „Szklanka wody“, ???

Tu podniósł p. dyrektor kwestię, dlaczego tak mało młodzieży uczęszcza na przedstawienia, organizowane specjalnie dla szkół. Tak np. przedstawień „Pana Damazego“, sztuki specjalnie przygotowanej dla szkół, z wielkim nakładem kosztów, — odbyło się 3, dla 800 widzów, czyli dla 1/4 młodzieży wszystkich szkół średnich Częstochowy. To zaniedbanie organizacyjne (gdyż tylko ono wchodzi w rachubę) wydaje się tym dziwniejsze, że jednocześnie organizuje się koncerty dla całej młodzieży. Czyżby wykształcenie kultury teatralnej młodzieży nie było uznane za zagadnienie o znaczeniu podstawowym? Organizacja przedstawień szkolnych czeka na swoją szybką i sprawną realizację.

Po tej dygresji zapytaliśmy p. dyrektora, jak przedstawia się sprawa uzupełnienia zespołu i występów gościnnych.

„— Jeżeli chodzi o sprawę zespołu, to będzie on wciąż uzupełniany. Z gościnnych występów przewidziany jest występ Boneckiego. Co do innych, to pertraktujemy z Osterwą i Stępowskim. Te występy przewidziane są jednak na drugą połowę sezonu, a to dlatego, że gdy publiczność przyzwyczai się do występów gościnnych w pierwszej połowie, to wciąż czeka na owego „występowicza“.

— A teraz pytanie natury osobistej: jakie było pierwsze zetknięcie się p. dyrektora z Teatrem i jak układała się później praca w nim?

„— W młodych latach interesowałem się literaturą, a szczególnie poezją. Jednak w przedstawieniach amatorskich nie lubiłem występować. Raczej zawsze przypadała mi rola suflera. Do teatru miałem jednak inklinację zawsze, mimo to poszedłem w innym kierunku. Studiowałem na wydziale prawnym uniwersytetu warszawskiego, gdzie otrzymałem absolutorium. Po wojnie, jeszcze jako oficer, zacząłem uczęszczać do warszawskiej szkoły dramatycznej, a w latach 1920 — 22 rozpocząłem swą pracę na scenie. Pracowałem kilka lat w Warszawie, w teatrze Bogusławskiego.

Później pojechałem razem z Osterwą do Wilna, gdzie prowadziliśmy pionierską pracę kulturalną na Kresach. Graliśmy wtedy na rozmaitych pięknych plenerach, jak na dziedzińcu Skargi w Wilnie, w ruinach zamku Mendoga, przed kościołem Dominikanów. Wtedy to właśnie pracowali najwięksi ludzie teatru. Po wyjeździe z Wilna pracowałem w teatrze Słowackiego w Krakowie, w teatrach poznańskich, potem znów wróciłem do Warszawy, gdzie współpracowałem z Solskim w eksperymentalnym teatrze Żeromskiego.

Po występach w „Reducie“ zająłem się filmem i grałem w filmie „Przeor Kordecki“. — Film jednak porzuciłem i przybyłem na zaproszenie dyr. Iwo Galla do Częstochowy, a gdy on objął dyrekcję innego teatru prowincjonalnego, ja wziąłem kierownictwo tego teatru.

Myślę wciąż o tym, aby Teatr Kameralny objął swym zasięgiem całe województwo kieleckie. Ale to nastąpić może po zupełnym ustabilizowaniu się stosunków, po zagospodarowaniu i odpowiednim zaopatrzeniu teatru, wreszcie po skompletowaniu stałego zespołu artystycznego. Moje zamierzenia na przyszłość to: podniesienie Teatru na odpowiednio wysoki poziom, wprowadzenie teatru dla dzieci i rozszerzenie programu dla młodzieży, wreszcie rozwinięcie działalności w terenie, na prowincji.

Dzwonek na przerwę przeszkodził nam w dokończeniu rozmowy. Pożegnaliśmy p. dyrektora, dziękując za udzielenie informacyj. Zaraz w korytarzu spotkaliśmy p. Wojteckiego, znanego artystę teatru Malickiej.

— Czy można prosić o wywiad?

— Wywiadów z zasady nie udzielam — uśmiechnął się p. Wojtecki. Ale wyjątkowo dla nas odstąpił od zasady i na pytanie: Czy lubi publiczność? odpowiedział: — Publiczność bardzo lubię, a Częstochowę znam przecież z moich dawnych występów. A z którego panowie są gimnazjum? — Z Traugutta! — Aha. Bo już mam kilku przyjaciół z pośród absolwentów Gimn. Sienkiewicza, którzy są teraz na wyższych uczelniach i często do mnie zaglądali, gdy byłem w Warszawie.

— Jakie ma pan plany na przyszłość?

— To jest moja tajemnica. Nie lubię zdradzać mych planów, dopóki nie dojrzeją.

I znowu dzwonek przerywa nam rozmowę. P. Wojtecki żegna nas i śpiesznie wychodzi na scenę.

J. S.

Wywiady z innymi członkami zespołu naszego Teatru umieścimy w następnym numerze.

„Pan Damazy“.

„Pan Damazy“ jest bezsprzecznie jedną z najlepszych polskich komedii i mimo, że ma już za sobą przeszło 60-letnią tradycję, nic na tym nie traci — odnajdujemy w niej wiele przejawów życia współczesnego.

Komedia Blizińskiego nie jest utworem dzi-

siejszych literatów, gdzie poza błyskotliwą formą kryje się często zupełny brak treści; jest to dzieło o na prawdę dużej wartości artystycznej, posiadające tendencje moralno-społeczne, bardzo bezpretensjonalne i dlatego miłe.

W „Panu Damazym“ oglądamy ludzi przewrotnych i uczciwych. Widzimy, jak Bliziński, opowiadając o historii testamentu, o małżeństwie wbrew woli, o różnych intrygach i podstępach, wyśmiewa nie złośliwie, ale z pogodnym humorem wszystkie ułomności i wady natury ludzkiej, które wychodzą na jaw, gdy w grę wchodzi pieniądz.

Humor w „Panu Damazym“ jest przedniego gatunku. W całości sztuki widać pewne pokrewieństwo z Fredrą, ale nie naśladownictwo.

Na prawdę, godny uznania był pomysł wystawienia na scenie naszego teatru „Pana Damazego“. Zwłaszcza dla młodzieży szkolnej była to wspaniała okazja do zapoznania się z ludźmi i charakterem minionej epoki. Do zrozumienia sztuki dopomagała przedmowa prof. Schäffera, poprzedzająca każde przedstawienie szkolne.

Przejdźmy teraz do gry zespołu. Na pierwszy plan wybija się postać pana Damazego, odtworzona na prawdę doskonale przez nowo pozyskanego artystę teatrów poznańskich, p. E. Glińskiego. Reżyser sztuki, p. R. Wasilewski, był świetnie ucharakteryzowany i stworzył pyszną kreację jako chytry rejent Bajdalski, wzniecając na widowni wybuchy głośnej wesołości. Przemiłą była p. H. Zarembina w roli zakrzyczanej przez siostrę staruszki Tykalskiej. Zalotna Helenka była pełna wdzięku w wykonaniu p. J. Baronówny. Z humorem zagrał swą rolę pozytywisty p. T. Krotke. Natomiast szablonowo i wogóle słabo wypadły role Antoniego i Seweryna.

W całości na tle stylowych dekoracyj i dobrych kostiumów przedstawienie było na prawdę jednym z najlepszych w obecnym sezonie.

Ir. GPJS.

„Serca za drutem kolczastym“

Komedia w 3 aktach
W. Jastrzębiec-Zalewskiego.

Przemiła komedia, przechodząca często w wesołą farsę, odrazu w pierwszym akcie wprowadza nas w atmosferę dziwactw dwóch braci, starych kawalerów, których zajęcie polega na ciągłych, zażartych kłótniach. Młodszy z nich, typ sangwinika złoszczącego się przy każdej okazji, wygrzebał gdzieś w starych rodowych archiwach historię o zdradzie swej prababki i w skutkach dostał bzika na punkcie Mazepy. Naturalnie dało to okazję starszemu, zjadliwemu i kąśliwemu braciszkowi do złośliwych uwag i zaczepek. Do takiej to atmosfery pozowania na staroświeckie tradycje i ciągłej kłótni braci przybywa młoda, piękna panienka, studentka, która przyjęła tu posadę sekretarki i z wrodzonym tupetem i wdziękiem podbija serca dwóch braci i Strzelca, który potem okazuje się studentem, a który ma za zadanie dowcipnymi powiedzonkami bawić publiczność.

Cały akt II to walka panny Ireny ze śmiesznym konserwatyzmem braci Gomorowskich. — Nad całym II aktem wisi kompleks Mazepy. Widzowi zdaje się, że lada chwila rozegra się tutaj dramat w stylu Mazepy. Lecz nie wiadomo, kto będzie bohaterem, kto zdradzonym mężem, kto kochankiem. I oto autor rozwiewa ten nastrój przez zręczne wprowadzenie pod koniec II aktu snu pijanego Zbigniewa. Scena ta została rozwiązana bardzo efektownie!

Akt III wprowadza wesołą rewolucję. Młodość i postęp zwyciężyły starość i konserwatyzm. Oto ci starsi panowie ze staroświeckimi brodami, chcąc się przypodobać pannie Irce, golą brody i wychodzą na scenę ubrani w najmodniejsze garnitury. Panna zręczną intrygą wzbudza nadzieje w obydwóch, by potem dać im kosza, godząc zarazem i przecinając „kolczaste druty“, dzielące ich serca. A sama wychodzi za Strzelca-studenta.

Sam autor, aby ubawić publiczność, użył trzech rodzajów humoru: charakterów (dwaj bracia) sytuacji i dowcipnych powiedzonek, które przy każdej sposobności wygłasza Strzelec.

Publiczność bawi się wyśmienicie. Świetna gra panów: E. Glińskiego i R. Wasilewskiego w roli braci Gomorowskich pokrywa wiele braków samej budowy akcji.

Z wdziękiem i talentem zagrała rolę Ireny p. J. Baronówna. Dobrze wypadł p. Krotke i p. Puchniewska. Fatalnie była zagrana rola Zbigniewa (za dużo powtarzanych ruchów).

Publiczności na premierze wyjątkowo dużo, a częste wybuchy śmiechu i oklaski były oznaką dobrej zabawy i udanej premiery.

PIETYZM I NIEDYSKRECJA W LITERATURZE.

ODCZYT I ROZMOWA Z BOY'EM.

„Wiesz co? — zagadnął mnie redaktor podczas pauzy po jakiejś gorącej lekcji — Boy przyjeżdża do Częstochowy. Musimy zrobić z nim wywiad."

„Czyś na głowę upadł?, przecież nas nie dopuszczą do niego. Szkoda płakać. Za wielka ryba! Zresztą Boy jest znany z tego, że nie lubi udzielać wywiadów."

„Zobaczysz — przynieś tylko papier i ołówek, a z próżnymi rękoma nie wyjdziemy."

I rzeczywiście, po wielkich trudach, po pokonaniu wielu przeszkód weszliśmy na sale Teatru Kameralnego, wypełnioną doborowym towarzystwem. Gdzie niegdzie większe luki niezajętych miejsc świadczyły o ilości kulturalnego społeczeństwa szóstego miasta Polski. Ukazanie się Boy'a na estradzie zostało przyjęte hucznymi oklaskami.

Są ludzie, którzy pierwszym słowem pozyskują sobie sympatię publiczności. Takim człowiekiem jest właśnie Boy.

Umie on stworzyć żywy kontakt z publicznością i wprowadzić ją w bieg swoich myśli, umie zainteresować, zaciekawić dygresjami, a nawet zabawić dyskretnym dowcipem.

W swym odczycie zajął się przede wszystkim kwestią listów wielkich ludzi i pisarzy oraz kwestią naszego do nich stosunku. Oto treść odczytu:

Mnożące się w ostatnim czasie wydania listów, jak np. listy Mickiewicza w wydaniu sejmowym listy Szopena, Morwida, Żmichowskiej, dochodzące do skutku wydanie listów Wyspiańskiego, oraz rewelacyjne listy Sobieskiego, zamieszczone w monografii „Marysieńki" Boy'a, wzbudziły w prasie gorącą polemikę na temat prawa korzystania z listów sławnych ludzi. Szerzej ujęto to zagadnienie formułując je w ten sposób; „Człowiek — czy dzieło?"

Rozgraniczenie to, usuwające życie poety i jego osobowość poza zasięg badań literackich, jest równie nieistotne, jak pytanie: „czy umyć zęby czy ręce".

Stosunek nasz do pisania, ukształtowany przez jego dzieło, nie ulegnie zmianie, jeśli poznamy takie jego życie, przeciwnie wtedy będziemy zdolni głębiej odczuwać i rozumieć jego dzieła.

Wiele dzieł byłoby niezrozumiałych, zwłaszcza po latach, gdyby właśnie nie znajomość przeżyć autora. Te bowiem łączą się bardzo ściśle twórczością, szczególnie u naszych romantyków. Historia literatury nie może wyrzec się badania listów, gdyż w nich poznać można bezpośrednio osobowość pisarza, a tym samym znaleźć klucz do jego utworów. To jest jeden pogląd. Drugi natomiast, też nie bez słuszności, twierdzi, że listy prywatne to świętość, tajemnica, której nie należy nawet wtedy badać, kiedy autor listów już nie żyje. Stąd prosty wniosek, że należało by te listy spalić. Ale jakoś nikt tego nie robi. Życie więc rozstrzyga sprawę, a pietyzm w stosunku do pisarza prowadzi zarazem do niedyskrecji. Ale charakter listów ma szeroką skalę. Od listów pisanych tak, jakby były przeznaczone do druku, do listów, których niepodobna ogłosić, tak są nabrzmiałe swobodą słowa. To sprawia, że listy, zanim dostaną się do wydawcy, podlegają „retuszowi" ze strony posiadacza ze względów rodzinnych, albo politycznych. Najjaskrawszym przykładem są tu listy Balzaca, „wyretuszowane" przez panią Hańską.

Niemożność wyrzeczenia się listów, jako materiału badań literackich, a z drugiej strony charakter listów, stawiają badacza w trudnej sytuacji, z której jednak musi znaleźć wyjście.

*

Zaraz po odczycie rzuciliśmy się do drzwi i z wielką tremą w sercach przeciskaliśmy się przez tłumy, by dostać się do Boy'a. Po bohaterskim lawirowaniu wśród tłoczącej się publiczności dotarliśmy do kulis i stanęliśmy przed samym Boy'em... O ile jako prelegent działa na słuchacza błyskotliwym dowcipem, głębokością sądów, ciekawym postawieniem zagadnień i bezstronnym ich rozwiązaniem, a raczej wskazaniem wszystkich „pro" i „contra", o tyle w osobistym kontakcie zdobywa serca prostotą, przystępnością i szczerością cechą wielkich umysłów. W czasie miłej pogawędki poprosiliśmy pana Boy'a-Żeleńskiego o maleńki wywiadzik.

„Wywiad? Niestety, proszę panów, ja wywiadów nie udzielam — na prawdę nie udzielam. Są ludzie, którzy wychodzą na estradę i mówią bez przygotowania godzinami całymi. Ja tak, niestety, nie potrafię, nawet taki odczyt, to musiałem czytać, i dlatego wywiadów nie udzielam. Proszę tylko zamieścić pozdrowienia dla czytelników..." — „Świata Szkolnego" — dopowiedział redaktor i nadmieniwszy, że to już jest wywiadem, pożegnaliśmy pana Boy'a.

Rozmowę z nim, chociaż tak krótką, zawsze będziemy zaliczać do miłych chwil. *Z. J. S.*

Od czego zależy znaczenie Sodalicji!

Sodalicja swoim duchem i działalnością przynosi wiele korzyści, niemniej często źle pojmowana, wpływa ujemnie. Jednakże niezrozumienie ideologii statutu oraz niedbalstwo członków Sodalicji nie przesądza jej dodatniego znaczenia.

Trzeba więc sobie dokładnie zdać sprawę, na czym polega i od czego zależy znaczenie Sodalicji.

Można by na to pytanie odpowiedzieć, że wartość a zatem i znaczenie Sodalicji zależy od władz sodalicyjnych, t. j. od ks. Moderatora i od zarządu. Nie można zaprzeczyć, że w takim ujęciu sprawy jest coś niecoś prawdy, ale muszą być jakieś zasadnicze i głębsze przyczyny, które umożliwiają wydajność pracy sodalicyjnej. To też prawdziwą odpowiedź na to zagadnienie znajdujemy w analitycznym rozpatrzeniu całokształtu organizacji sodalicyjnej.

Z tego zaś stanowiska rzecz rozpatrując, odpowiedź można zamknąć w trzech punktach.

Znaczenie Sodalicji zależne jest od:

1) organizacyjnego nastawienia,
2) duchowej indywidualności członków,
3) aktywności organizacji.

Jeżeli Sodalicja ma mieć naprawdę znaczenie, to każdy, kto do niej wstępuje, musi przede wszystkim wyeliminować jak najbardziej ze swego do niej stosunku osobiste pierwiastki, a natomiast przejąć się głęboką treścią Sodalicji, t. j. jej ustawami. Tam bowiem jest stanowczo i poważnie postawiony cel sodalicyjnego życia i środki do niego prowadzące. Kto zatem wstępuje do Sodalicji, powinien swej umysłowości przyswoić owe prawdy, powinien je zanalizować, aby dojrzeć w nich te wartości, które by następnie mogły pociągnąć jego wolę.

W Sodalicji, jak w każdej innej organizacji, podstawą obiektywną, ale teoretyczną jej wartości i znaczenia jest statut, zaś praktyczną i subiekywną przelanie jego treści do duszy członka, z której potem rozpromieniuje na jego indywidualne życie.

Przeciwstawieniem tego postulatu jest należenie do Sodalicji jedynie dla powodów osobistych, że tak powiem „materialnych", czego następstwem jest nieznajomość i owa jakżeż częsta ignorancja ustaw i statutu Sodalicji. — A z tak różnych nastawień umysłowych do podstawy życia sodalicyjnego muszą z konieczności wynikać wręcz różne sposoby postępowania członków i różna jej wartość i znaczenie.

Przeważnie w Sodalicji tak bywa, że ogół członków niewiele, albo może wcale, nie interesuje się działalnością organizacji. Powiada się z lekkim sercem: — Zarząd jest od tego, niech sobie głowę łamie.

Dobrze jest, jeżeli reszta mówi sobie jednocześnie, że jest od tego, aby słuchać, ale bywa niekiedy gorzej: są tacy, którzy przekonani są, iż zadaniem ich jest krytykować. Stąd to po Sodalicjach spotyka się tak charakterystyczne zjawisko, że kiedy na porządku dziennym są wolne wnioski lub dyskusja, to albo głuche milczenie zalega salę zebrań, albo tylko jakieś ciche szepty dadzą się zauważyć. Natomiast poza zebraniami mówi się wiele, a nie pochodzi to wyłącznie z jakiejś nieśmiałości, nie pozwalającej na publiczne odezwanie się i wystąpienie z właściwą uwagę. Źródło tkwi w tym, że poszczególni członkowie za mało przejęci są dobrem ogółu, że nie przenika ich głęboka troska o znaczenie Sodalicji, że nie ma ducha ofiary na rzecz całości.

Wszystkie dobre strony życia organizacyjnego zależą niemal wyłącznie od indywidualności duchowej członków. Czy sodalisi zimni, niesumienni będą dla nas zachętą i otuchą w chwilach ciężkich i krytycznych, czy przeciwnie, jedną więcej pobudką do ustępstw złym wpływom i namiętnościom? Czy naprawdę na wspólnych zebraniach, nabożeństwach jest możliwe wniesienie podniosłego nastroju, jeżeli brak większości członków, a twarze obecnych wyrażają jakiś przymus.

Z drugiej strony silna i zdecydowana wola, wola konsekwentna i wytrwała każdego członka Sodalicji musi zapewnić jej właściwe znaczenie.

Sodalicja w ciągu wiekowego istnienia zmieniała często swój zewnętrzny wygląd, ulegała wielkiej ewolucji, z maleńkiego ziarenka wyrastając na potężną organizację i dzielny hufiec wyborowych katolików.

Dwa zasadnicze cele Sodalicji, stanowiące jej właściwy zrąb — pogłębienie życia wewnętrznego przez specjalny kult Marii, oraz apostolstwo na zewnątrz — nie uległy nigdy istotnym przemianom. Zmieniły się jedynie sposoby wykonywania tych zadań. Płomienna treść przeżarła stare, niedoskonałe formy, silny zaś duch twórczy budował nowe, trwalsze i doskonalsze.

Wynikiem tego było powstanie sekcyj. Bez nich Sodalicja, zwłaszcza liczna, nie mogłaby sprawnie działać, musiałaby bardzo ograniczyć pole swych apostolskich ekspansji, tracąc dużo z właściwego sobie charakteru. Przez sekcje Sodalicja torowała sobie drogi do różnorodnych prac społecznych i charytatywnych. Tu bowiem koncentruje się życie apostolskie sodalisów, stąd wychodzą śmiałe pomysły i owocne czyny.

R. Huma — S. GPRT.

„KUROPATWY“

PRZEZ JÓZEFA ROUMANILLE.

Tłumaczenie z francuskiego.

Zdarzyło się to w naszym pięknym Awinionie w czasie, kiedy przędła Berta. — Przędła ona jedwab, teraz zaś nawija pakuły! Złote czasy, w których nie było, jak dzisiaj, żądzy robienia szybko majątku, w których ludzie cieszyli się tym, co mieli, bez pożądania tego, co do nich nie należało; w których strawę swą gotowano na małym ogniu, w których żyło się, aby pracować, a pracowało się, aby żyć. Kiedy zaś to wszystko uzyskali, śmiali się swym dobrym, szczerym śmiechem, gdyż na tym świecie dość jest czasu, by płakać!

Zwykle o drugiej godzinie po południu, w kawiarni Saint-Didier, zbierało się wokół butelki wina kilku bogatych i okazałych mieszczan oraz faktorów zgrubiałych i wzbogaconych przemysłem jedwabniczym.

Pewnego dnia wszedł tam sławny pan Alary, znany ze swych opowieści i anegdot.

— Oh! do szatana!... przesławni! — rzekł, wchodząc z uśmiechem na ustach.

— Powiedz pan prędko, co nowego — proszą goście.

— Spieszmy się, gdyż nie mamy czasu do stracenia, jeśli nie chcemy, by chybiło nowe przedsięwzięcie. U przyjaciela Duvernet, sprzedawcy obuwia, widziałem Jana Fifre, prostaka (znamy go, jego żona u nas pracowała). Przymierza on parę wielkich pantofli; jeszcze ich nie kupił; musi zmienić sznurowadła i ma wbić na podeszwie gdzie niegdzie kilka gwoździ. A więc! towarzysze! Chodzi o to, aby, kiedy będzie niósł trzewiki, wmówić w niego, że niesie... wspaniałą parę kuropatw.

— Oh! Panie Alary, to jest za trudne i nie da się zrobić! Czy wie pan, do diabła, co pan od nas wymaga?...

— Chcę, aby pan, panie Faure, poszedł pierwszy, tak jakby pan chciał wyjść z miasta od strony bramy Saint-Michel. Ty, Aleksie, pójdziesz za panem Faure w odległości dwudziestu kroków. Pan, panie Lafont, pójdzie za Aleksym w tej samej odległości, a ty, Agricol, wślad za panem Lafont. Wszyscy czterej będziecie spacerowali powoli, strzegąc umówionej odległości, wzdłuż ulicy, przez którą nasz Jaś musi przejść, aby dostać się do Graveson, dokąd zdąża.

— Lecz, kochany panie! — mówią do Alarego — dlaczego wkłada nam pan w głowy i tłumaczy, jak dzieciom...

— Acha, jeszcze chwileczkę! poczekajcie. Skoro zobaczycie naszego Gravesończyka z butami w ręku lub zawieszonymi na ramieniu, poznacie go bardzo łatwo: ma długi, płaski nos, wystający z pod wielkiego kapelusza, sięgającego niemal do krzyża, na grzbiecie ma chustkę, a na brzuchu karmazynową przepaskę.

— A dalej co?

— Następnie każdy ze swej strony, jeden po drugim, skoro go poznacie, obejrzyjcie jego buty i udając, że wierzycie w to, iż on niesie kuropatwy, spytacie, czy ich nie sprzeda. Nic więcej.

Dał się słyszeć wybuch śmiechu z kawiarni Sain-Didier, kiedy wszyscy jasno zrozumieli plan pana Alarego.

— Ruszajmy żwawo, moi przyjaciele! każdy na swoje miejsce, — dorzucił pan Alary. — Zarzućcie dobrze wasze sieci. Byłoby wielkim nieszczęściem dla nas wszystkich, gdybyśmy nie złapali ryby. Ja tutaj was oczekuję: Pan Jan za bardzo mnie zna...

— Niech będzie! naprzód! złapiemy go.

I panowie Faure, Aleksy, Lafont i Agricol punkt po punkcie wykonali plan pana Aalry. Szybko rozprószyli się, każdy przygotowany do odegrania swej roli.

— — — — — — — — — — — — — — —

Skoro Duvernet zmienił sznurowadła i wbił kilka gwoździ, Jan Fifre zapłacił i zawiesił na ramieniu swe pantofle.

— Skoro będę z nich zadowolony, przyjdę jeszcze do pana — powiedział i wyszedł.

Zmierzał do Graveson.

Pierwszy zaatakował naszego Gravesończyka Agricol i, jak mówią, „wziął byka za rogi“.

— Hej, człowieku w przepasce — krzyknął pokazując ręką pantofle. — Macie ładną parę kuropatw. Czy nie chcielibyście sprzedać mi ich?... Ile chcecie?

— Co pan mówi?

— Pytam was, czy nie chcielibyście sprzedać mi tych kuropatw.

— Jakich kuropatw?

— Waszych kuropatw, do licha!

— Daj mi pan spokój. Pan mnie bierze za kogo innego. Nie mam czasu pana bawić; czekają na mnie.

— Szkoda — odpowiada Agricol. — Widzę, że nie chce mi pan ich sprzedać. Jeśli nie chce pan sprzedać, pilnuj ich pan.

— Też dowcipniś — myślał nasz Fifre.

I poszedł swoją drogą.

Lecz nie uszedł dwudziestu kroków, gdy zatrzymał go pan Lafont.

— Ile pan chce za nie? Dam panu czterdzieści sous.

— O, naprawdę! — mruknął Gravesończyk — sprzedam panu za czterdzieści sous to, za co dałem dziesięć franków!

— Za te ładne kuropatwy? Tak, owszem, to są ładne kuropatwy! Lecz aż tyle...

— Ach! dosyć tego! — krzyknął rozjuszony Fifre. — Kiedy się to skończy. Idź pan do diabła ze swoimi kuropatwami. Jeżeli pan lubi kuropatwy, idź pan na polowanie, a nie śmiej się pan z biednego.

— Uspokój się, dobry człowieku! — rzekł pan Lafont. — Owszem, lubię dziczyznę, lecz będę się musiał obejść bez niej. Z braku kuropatw; trzeba zadowolić się kwiczołem.

— Pan mi zawraca głowę, panie!... i...

— Przepraszam, jeśli panu przeszkadzam. Nie wiedziałem, że jutro piątek... Do niedzieli nie wytrzymają te pańskie kuropatwy.

— Co pan znów z tym?... Lecz, do wszystkich diabłów! — ryknął Jan Fifre (a ryknął tak głośno, że wszyscy zwrócili głowy w jego stronę), pan jest ślepy, albo wkrótce nim będzie? Nie widzi pan, że są to buty; buty z grubej skóry? zupełnie nowe, jasne, jak złota nitka? Trzymaj, głupcze, oglądaj je, dotknij ich. Jeden, drugi!... Oto sznurowadła, o! a tutaj gwoździe! Pan mi ością w gardle stanął z pańskimi kuropatwami.

— O! skoro ma pan humor żartować i żądać, bym dziczyznę wziął za trzewiki ze skóry, wiedz pan, że jestem za stary wróbel, aby mnie wziąć na plewy! Myślałem, że chce pan sprzedać mi je. Może pan je zatrzymać. Niech diabeł mnie porwie, jeżeli ja ich żałuję! Pachną... do krocset... te kuropatwy! Mój kot będzie miał kwaśną minę. Nie pogniewałbym się, gdyby mi pan zrobił z nich podarek!

Po tych słowach pan Fifre mrucząc i klnąc ruszył w drodzę. Podwaja kroki, aż nagle zatrzymuje się i wodząc palcem po opuszczonej głowie, myśli... Następnie podnosi buty do wysokości nosa, zwraca je, obraca, opuszcza niżej i znów podnosi... Co wy na to? Ogląda, czy przypadkiem nie zauważy piór. I cały zamyślony podnosi rękę do czoła, aby otrzeć z niego pot. Przerywa mu to Aleksy, mówiąc:

— Halo! pan wybaczy!... Jak dawno pan je zabił?

— Zrozum pan, że ja nikogo nie zabiłem.

— Och! na kolację wyśmienita potrawa! Co by to była za biesiada, one i ja! z kapustą dookoła! Zdaje mi się, że ich próbuję!

Jan Fifre nic więcej nie widział. Oczy zaszły mu mgłą, w głowie zaczęło mu szumieć, nie mógł utrzymać się na nogach; broda lata mu, zęby szczękają, dostał końskiej gorączki.

— Nic już nie mówię, aby pana nie urazić — dorzucił Aleksy. — Oh! jak pan na mnie patrzy. Zupełnie jakbym panu zjadł jego zupę. Nie chcę bynajmniej ukraść panu tych kuropatw!... Czy chce je pan zatrzymać dla siebie, czy sprzedać?

— Czy was piorun poraził? Czy co?

— Zatrzymajcie je, a skoro chcecie, aby kot ich nie zjadł, natrzyjcie główki czosnkiem.

Nie wiedząc czy śpi, czy obudził się po śnie, biedny Fifre widzi, że jego buty są opierzone. Później jest przekonany, że wokoło latają pióra kuropatw... Przypomina sobie wszystko, co opowiadała mu babka o diabelskich figlach, które płatali czarownicy i czarownice w dawnych czasach chrześcijaństwa.

Będąc w pobliżu bramy Saint-Michel spotkał pana Faure.

— Hola! człowieku! — pyta pan Faure tonem srogim i okrutnym, z groźnym wyrazem twarzy. — Człowieku! chciałbym wiedzieć, gdzie zabiłeś te kuropatwy?

— Ja nic nie zabiłem, powtarzam — odpowiedział Jan Fifre, blady, jak płótno. — Mój kochany panie, ja kupiłem je u pana Duvernet, który tam mieszka...

— Duvernet nie sprzedaje kuropatw, lecz buty. Jeżeli kuropatwy te kupione są na rynku, lub zastrzelone na wolnej ziemi, nie mam nic do powiedzenia, możecie iść i ugotować je spokojnie u siebie. Lecz jeżeli pan sam je zabił, lub ukradł, co jest oczywiste, w terenie, gdzie polowania są wzbronione, zostanie pan ukarany. Ja panu to mówię!... i nic więcej!

— Drogi panie, — podejmuje Gravensończyk przestraszony możliwym protokułem, — jestem niewinny, jak nowonarodzone dziecko. Pan mówi mi o przestępstwach, których nie mogłem uczynić, ponieważ są czarne, jak sadza.

— Więc dobrze! Poczekaj pan, ja pójdę poszukać kogoś, co pana oświeci.

Pan Fifre rzucił się do ucieczki.

Przestraszony zobaczył wyłaniający się róg kapelusza policjanta i zachwiał się wpół umarły. Szybko ocknął się, zwrócił głowę w tył i podwoił kroki, aby szybciej uciec. Cały wzburzony, pocąc się, szybko przyszedł do pana Duvernet.

— Panie, — krzyknął, — tak się nie robi. Pan zrobił ze mnie głupca. E! jeśli chciałbym kupić kuropatwy, wierz mi pan, poszedłbym do handlarza dziczyzną — musiałem zapłacić 10 franków. żyd tak robi!

Duvernet, uprzedzony przez pana Alarego, dusił się, by nie wybuchnąć śmiechem.

— Pan jest oszukańcem, jak wszyscy mieszkańcy miasta... Trzymaj pan swoje kuropatwy i oddaj pan moje 10 franków.

I Jan Fifre rzucił kuropatwy na kontuar.

NA CENZUROWANYM.

Na pierwszy ogień idzie para, popularnie zwana kuzynostwem, kuzyni nie z krwi, ale z nosów. O nich to krąży znane przysłowie: „Góra z górą się nie zejdzie, ale dwa nosy zawsze“. Ile razy one rzeczywiście schodziły się — tego nie wiemy, ale że mają się ku sobie to widzimy z karykatur. No! nic dziwnego. On młodzian piękny i przystojny, znany w kołach towarzyskich z bujnego i sumiastego wąsa i z niezaprzeczenie mądrego wyrazu twarzy. Ona zato panna piękna i nadobna — tańczy, jak nimfa, gdyż talent w nóżkach ma.

Miłosna idylla jeszcze trwa — kolacyjka — brydge —

Nie wiem kto lepszego „nosa“ ma?





BYŁA SOBIE...

Była sobie kartka, pióro
czarnego koloru,
Bajkę na niej napisano
tylko dla humoru...
Była sobie raz Małgosia,
co lubiła Miecia,
Dobrze by im z sobą było,
gdyby nie ta „trzecia“...
Była sobie Danka — i Zbych,
mieli „piękne“ nosy.
że są pewnie kuzynostwem —
słychać wszędzie głosy...
Była sobie Wala — Mala,
Byli Stef i Zdzicho,
Były by z nich dobre pary,
ale nie śpi licho...
Była sobie cienka Kama,
miała swego Mańka,
lecz do wojska go zabrali
i prysnęła bajka...
Była sobie gruba Miśka,
dużo chłopców miała
i każdemu po kolei
głowę zawracała...
Była sobie piękna Hela
i Henryś nie młody,
że do siebie piszą listy —
Są na to dowody...
Była sobie Baśka, Terka
i cała gromada.
Dużo można o nich pisać,
lecz skończyć wypada...

Jeden.

Kurator: *J. Schäffer.* Redaktor: *Z. Zajdler.*
Kier. artystyczny: *Al. Czerwiński.*

Odbito w Zakładach Graficznych F. D. Wilkoszewskiego, Częstochowa, III Aleja 52.

Protokuł z zebrania
delegatów „Świata Szkolnego".

Dnia 25 listopada 1937 r. odbyło się pierwsze tegoroczne zebranie delegatów szkolnych, na którym był obecny p. dyr. Artymiak, p. kurator „Świata" prof. J. Schäffer oraz delegaci wszystkich średnich szkół częstochowskich z wyjątkiem gimnazjów żydowskich.

Porządek dzienny był następujący:
1) lista obecnych,
2) wybór przewodniczącego,
3) wybór nowego Komitetu redakcyjnego,
4) wolne wnioski.

Przechodząc do drugiego punktu zebrania jeden z członków zeszłorocznego Komitetu poprosił na przewodniczącego zebrania kol. L. Borkowskiego (Gimn. H. Sienkiewicza).

Chociaż w porządku zebrania nie było przewidziane przemówienie nowego kuratora naszego pisma, to jednak sprawił on nam bardzo miłą niespodziankę, przemawiając do nas w krótkich słowach. Z początku podzielił się z nami swymi wrażeniami, jakie odniósł, przyglądając się pracy młodzieży szkolnej na terenie Częstochowy.

Jako nowo obrany kurator naszego pisma międzyszkolnego wyraził swoje najgorętsze pragnienie co do pracy nowego pokolenia. Młodzi powinni zawsze wybijać się inicjatywą, powinni dążyć do udoskonalenia najprzód siebie, a potem ogółu i to, jako hasło tegorocznej pracy, rzuca nam p. profesor.

W związku ze sprawami literackimi p. kurator oświadczył nam, że ponieważ sam należał w młodości do tych ludzi, którzy piszą wiersze, teraz zupełnie zrozumiałe są dla niego próby i dążenia młodych. Jego zdaniem nie należy ganić ich i zniechęcać, ale obowiązkiem Komitetu redakcyjnego będzie łagodnie i rozumnie załatwić te sprawy, tak, aby nie złamać skrzydeł, rozpiętych może do wspólnego lotu.

W dalszym ciągu swego przemówienia zapewnił nas, że każdy objaw młodzieńczych sił na tym polu będzie dla niego bardzo miły i z prawdziwą życzliwością będzie spełniał swój obowiązek, który jest również potrzebą jego duszy. Na zakończenie wyraził nadzieję, że pierwsze zebranie nie będzie ogniem słomianym, ale z szczerym zapałem zabierzemy się do pracy na terenie naszego pisma międzyszkolnego.

Spełniając trzeci punkt przyjętego porządku dziennego kol. przewodniczący zarządził wybór redaktora, na które to stanowisko obraliśmy jednogłośnie kol. Z. Zajdlera (Gimn. R. Traugutta), wice-redaktorem został kol. Ż. Grzędziński (Gimn. R. Traugutta), resztę funkcyj powierzono kol. K. Bäslerównie (Gimn. SS. Nazaretanek) — sekretarstwo, oraz kol. Z. Rylskiemu (Gimn. Kupieckie) — administrację pisma.

W wolnych wnioskach kol. redaktor wyjaśnił delegatom ich zadanie jako łącznika między Komitetem redakcyjnym a całą młodzieżą uczącą się, oraz prosił ich o współpracę, któraby w rezultacie swym dała taki poziom naszego pisma, jakiego życzą sobie nasi opiekunowie i jaki my pragniemy mieć.

Na kierownika artystycznej części „Świata" został powołany przez kol. redaktora kol. Czerwiński (Gimn. R. Traugutta).

Sekretarka: *Krystyna Bäsler.*

Odbito w Zakładach Graficznych F. D. Wilkoszewskiego, ul. Najśw. Marji Panny Nr. 52.